



HARLAN COBEN

Jedyna szansa

Thriller

1

Kiedy trafiła mnie pierwsza kula, pomyślałem o swojej córce.

A przynajmniej tak mi się wydaje. Bardzo szybko straciłem przytomność. I jeśli mam wyrażać się ściśle, to nawet nie pamiętam, że zostałem postrzelony. Wiem, że straciłem dużo krwi. Wiem też, że druga kula otarła się o czaszkę, chociaż w tym momencie zapewne byłem już nieprzytomny. Wiem również i to, że moje serce przestało bić. Mimo to chciałbym wierzyć, że umierając, myślałem o Tarze.

Nie widziałem jasnego światła ani tunelu. Albo widziałem, ale tego nie pamiętam.

Tara, moja córka, ma dopiero sześć miesięcy. Leżała w kołysce. Zastanawiam się, czy te strzały ją przestraszyły. Na pewno tak. Prawdopodobnie zaczęła płakać. Rozważałem, czy te znajome i głośne dźwięki zdołały jakoś przedrzeć się przez spowijający mnie opar, czy zarejestrowałem je jakąś cząstką świadomości. Jednak tego też nie zapamiętałem.

Natomiast dobrze pamiętam chwilę, gdy Tara przysła na świat. Pamiętam, jak Monica — matka Tary — zebrała siły, żeby znów zacząć przeć. Pamiętam pojawiającą się główkę. Ja pierwszy ujrzałem córkę. Wiemy, że niektóre chwile w życiu są przełomowe. Wszyscy słyszeliśmy o nowych drogach i szan-

sach, cyklach życiowych, zmianach pór roku. Jednak chwila, w której rodzi się twoje dziecko... tego nie da się opisać. Jakbyś przeszedł przez bramę między światami, przeniósł się za pomocą przekaźnika materii niczym w serialu *Star Trek*. Wszystko jest inne. Ty jesteś inny, jak pierwiastek, który pod wpływem działania doskonałego katalizatora przekształcił się w niezwykle złożony związek. Twój świat odchodzi w przeszłość, kurczy się do ciała o masie — przynajmniej w tym wypadku — dwóch kilogramów i osiemdziesięciu deko.

Dziwnie czuję się jako ojciec. Owszem, wiem że z zaledwie sześciomiesięcznym stażem jestem amatorem. Mój najlepszy przyjaciel, Lenny, ma czworo dzieci. Dziewczynkę i trzech chłopców. Marianne jest najstarsza z nich — ma dziesięć lat, a najmłodszy synek dopiero rok. Ze swym permanentnym uśmiechem znękanego, lecz szczęśliwego tatusia i przyschniętymi do podłogi szeregowego domku resztkami jedzenia na wynos, Lenny przypomina mi, że jeszcze nic nie wiem. Przyznaję mu rację. Jednak kiedy się boję lub gubię w trudnej sztuce wychowywania dziecka, spoglądam na tę bezbronną istotkę, a ona na mnie, i wtedy dochodzę do wniosku, że zrobiłbym wszystko, żeby ją ochronić. Bez wahania poświęciłbym własne życie. I prawdę mówiąc, gdybym musiał, poświęciłbym i wasze.

Dlatego chcę wierzyć w to, że gdy trafiły mnie dwie kule, kiedy runąłem na pokrytą linoleum podłogę kuchni, ściskając w dłoni niedojedzony batonik z muesli, kiedy leżałem nieruchomo w powiększającej się kałuży własnej krwi, a nawet wtedy, gdy moje serce przestawało bić, wciąż próbowałem coś zrobić, żeby obronić córkę.

Ocknąłem się w ciemnościach.

Z początku nie miałem pojęcia, gdzie jestem, lecz potem usłyszałem popiskiwanie, dochodzące z prawej. Znajomy dźwięk. Nie poruszyłem się. Tylko słuchałem pisków. Miałem

wrażenie, że mój mózg został zamarynowany w melasie. Pierwszy impuls, jaki zdołał się przez nią przebić, był zupełnie prymitywny: pragnienie. Chciało mi się pić. Nie wiedziałem, że w gardle może tak zaschnąć. Próbowałem poprosić o wodę, ale język przysechł mi do podniebienia.

Jakaś postać weszła do pokoju. Spróbowałem usiąść i poczułem przeszywający ból, jakby ktoś pchnął mnie nożem w kark. Głowa opadła mi do tyłu. I znów zapadła ciemność.

Kiedy zbudziłem się ponownie, był dzień. Przez żaluzje wdzierały się oślepiające smugi słonecznego światła. Zamrugałem. Chciałem unieść rękę i zasłonić dłonią oczy, lecz nie miałem dość siły. Gardło wciąż było potwornie wyschnięte.

Usłyszałem szelest i nagle stanęła nade mną jakaś kobieta. Spojrzałem na nią i zobaczyłem pielęgniarkę. Widziana z tej perspektywy, tak różnej od tej, do jakiej byłem przyzwyczajony, wyglądała dziwnie. Wszystko było nie tak. To ja powinienem stać i patrzeć na leżącego, a nie odwrotnie. Białe czepek — jeden z tych małych, prawie trójkątnych — tkwił na głowie pielęgniarki, podobny do ptasiego gniazda. Znaczna część mojego życia spędziłem, pracując w rozmaitych szpitalach, ale nie jestem pewien, czy kiedykolwiek widziałem taki czepek w rzeczywistości, nie na ekranie telewizora czy kina. Pielęgniarka była mocno zbudowana i czarnoskóra.

— Doktorze Seidman?

Jej głos był jak ciepły syrop klonowy. Zdołałem nieznacznie skinać głową.

Pielęgniarka najwidoczniej umiała czytać w myślach, bo w ręce już trzymała kubek z wodą. Wetknęła mi słomkę do ust, a ja zacząłem łapczywie ssać.

— Powoli — napomniwała łagodnie.

Miałem zamiar zapytać, gdzie jestem, lecz to wydawało się zupełnie oczywiste. Otworzyłem usta, żeby spytać, co się stało, ale ona znów wyprzedziła mnie o krok.

— Pójdę po lekarza — powiedziała, ruszając do drzwi. — Niech się pan odpręży.

— Moja rodzina... — wychrypiałem.

— Zaraz wrócę. Proszę się nie martwić.

Powiodłem wzrokiem wokół. Widziałem wszystko jak przez mgłę lub zaslonę prysznic — typowa reakcja po narkozie. Pomimo to dostrzegłem wystarczająco dużo, żeby dojść do paru wniosków. Znajdowałem się w typowym pokoju szpitalnym. To było oczywiste. Po lewej stał zestaw infuzyjny z pompą dozującą, której rurka biegła do mojego ramienia. Fluorescencyjne lampy brzęczały niemal, ale nie całkiem, bezgłośnie. Na ścianie po lewej był umocowany mały telewizor na ruchomym ramieniu.

Przede mną, metr czy dwa od łóżka, znajdowało się duże okno. Wytężyłem wzrok, ale niczego nie zdołałem przez nie zobaczyć. Pomimo to zapewne byłem obserwowany. To oznaczało, że leżę na oddziale intensywnej terapii. A zatem mój stan jest naprawdę ciężki.

Swędźniał mnie czubek głowy i coś uciskało mi czaszkę. Na pewno bandaż. Próbowiałem sprawdzić, czy jestem cały, ale mózg odmówił współpracy. Gdzieś z mojego wnętrza rozchodził się tępy ból, którego nie potrafiłem zlokalizować. Kończyny miałem niczym z ołowiu, a klatkę piersiową ściśniętą żelazną obręczą.

— Doktorze Seidman?

Zerknąłem w kierunku drzwi. Do pokoju weszła drobna kobieta w chirurgicznym fartuchu i czepku. Rozwiązane górne paski maski kołysały jej się po bokach. Mam trzydzieści cztery lata. Ona wyglądała na tyle samo.

— Jestem doktor Heller — powiedziała, podchodząc bliżej. — Ruth Heller.

Podawała mi swoje imię. Niewątpliwie z zawodowej uprzejmości. Ruth Heller obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Próbowiałem skupić wzrok. Mój mózg wciąż reagował opornie, ale wyczułem, że zaczyna budzić się do życia.

— Znajduje się pan w szpitalu St. Elizabeth — powiedziała należycie poważnym tonem.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i do środka wszedł jakiś mężczyzna. Widziałem go jak przez mgłę, ale byłem pewien, że go nie znam. Założył ręce na piersi i z wystudiowaną obojętnością oparł się o ścianę. To nie lekarz, pomyślałem. Jeśli tak długo z nimi pracujesz, rozpoznajesz ich od razu.

Doktor Heller obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, a potem znów skupiła całą uwagę na mnie.

— Co się stało? — zapytałem.

— Został pan postrzelony — odparła. A potem dodała: — Dwukrotnie.

Zamilkła na moment. Zerknąłem na mężczyznę pod ścianą. Nie poruszył się. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, lecz Ruth Heller nie dopuściła mnie do głosu.

— Jedna kula otarła się o pańską czaszkę. Dosłownie rozorała skórę na czubku głowy, która, jak zapewne pan wie, jest niezwykle dobrze ukrwiona.

Owszem, wiedziałem. Przy rozległych uszkodzeniach skóra okrywająca czaszkę potrafi krwawić równie obficie jak przecięte tętnice. W porządku, pomyślałem, to wyjaśnia swędzenie głowy. Kiedy Ruth Heller zawahała się, zachęciłem:

— A druga kula?

Heller westchnęła.

— To trochę bardziej skomplikowane.

Czekałem.

— Pocisk trafił w pierś i lekko skaleczył worek osierdziowy. To spowodowało obfity krwotok do przestrzeni okołosierdziowej. Sanitariusze z trudem doszukali się oznak życia. Musieliśmy rozciąć klatkę piersiową i...

— Doktorze? — przerwał jej oparty o ścianę mężczyzna i przez moment wydawało mi się, że mówi do mnie. Ruth Heller zamilkła, wyraźnie zirytowana. Mężczyzna odsunął się od ściany. — Może pani zostawić szczegóły na później? Czas odgrywa tu decydującą rolę.

Gniewnie zmarszczyła brwi, ale bez większego przekonania.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zostanę tu, żeby obserwować pacjenta — powiedziała.

Doktor Heller cofnęła się, a mężczyzna stanął przy moim łóżku. Wydawało się, że szyja nie utrzyma ciężaru jego dużej głowy. Włosy miał ostrzyżone krótko, z wyjątkiem grzywki, która opadała mu na oczy. Czarny pasek zarostu, szeroki i brzydki, siedział mu na brodzie niczym pijący krew owad. Krótko mówiąc, facet wyglądał jak członek boys bandu, który zabrał się do poważnej roboty. Uśmiechnął się do mnie chłodno.

— Jestem detektyw Bob Regan z wydziału policji w Kasselton — oznajmił. — Wiem, że trudno panu zebrać myśli.

— Moja rodzina... — zacząłem.

— Dojdę do tego — przerwał mi. — Teraz jednak chcę zadać panu kilka pytań, dobrze? Zanim przejdziemy do szczegółów tego, co się stało.

Czekał na moją odpowiedź. Spróbowałem wziąć się w garść i powiedziałem:

— Dobrze.

— Jakie jest pańskie ostatnie wspomnienie?

Przejrzałem banki pamięci. Pamiętałem, że wstałem rano i się ubrałem. Potem zjrzałem do Tary. Przekreśliłem gałkę jej czarno-białej grzechotki, prezentu od kolegi, który twierdził, że stymuluje rozwój umysłowy dziecka czy coś tam. Zabawka nie poruszyła się i nie zagrała cichej melodii. Baterie były wyczerpane. Zanotowałem w myślach, żeby włożyć nowe. Potem zszedłem po schodach.

— Jadłem batonik z muesli — powiedziałem.

Regan kiwnął głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Był pan w kuchni?

— Tak. Przy zlewie.

— A potem?

Usiłowałem sobie przypomnieć, ale na próżno. Pokręciłem głową.

— Obudziłem się. W nocy. Myślę, że już tutaj.

— Nic więcej?

Spróbowałem ponownie, bez skutku.

— Nie, nic.

Regan wyjął notes.

— Jak powiedziała pani doktor, został pan postrzelony dwukrotnie. Nie pamięta pan wycelowanej w pana broni, huku wystrzału ani niczego takiego?

— Nie.

— To chyba zrozumiałe. Był pan w kiepskim stanie, Marc. Ci z pogotowia myśleli, że już po panu.

Znów zaschło mi w gardle.

— Gdzie Tara i Monica?

— Skup się, Marc. — Regan spoglądał w notes, nie na mnie. Strach powoli zaczął ścisnąć żelazną obręczą moją pierś. — Czy słyszał pan brzęk wybijanego okna?

Byłem oszołomiony. Próbowałem odczytać etykietę na pojemniku z płynem infuzyjnym, żeby dowiedzieć się, co mi dają. Nie zdołałem. Na pewno jakiś środek przeciwbólowy. Zapewne pochodna morfiny podawana dożylnie. Usiłowałem zwalczyć senność.

— Nie — odparłem.

— Jest pan pewny? Znaleźliśmy wybite okno na tyłach domu. Może w ten sposób sprawca dostał się do środka.

— Nie pamiętam brzęku rozbijanej szyby — powiedziałem. — Czy wiecie kto...

Regan znów mi przerwał:

— Nie, jeszcze nie. Właśnie dlatego zadaję te pytania. Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił. — Oderwał wzrok od notesu. — Czy ma pan wrogów?

Czy on naprawdę zadał to pytanie? Spróbowałem usiąść, chcąc zyskać nad nim choć odrobinę przewagi, lecz okazało się to niewykonalne. Nie podobała mi się rola pacjenta albo — inaczej mówiąc — to że znalazłem się po niewłaściwej stronie. Powiada się, że lekarze są najgorszymi pacjentami. Zapewne z powodu tej nagłej zamiany ról.

— Chcę wiedzieć, jak się ma moja żona i córka.

— Rozumiem to — odparł Regan i coś w tonie jego głosu sprawiło, że zimne palce strachu zacisnęły się na moim sercu. — Jednak nie może się pan teraz rozpraszać, Marc. Jeszcze nie. Przecież chce nam pan pomóc, prawda? Musisz więc się skupić. — Znów wbił wzrok w notes. — Co z tymi wrogami?

Dalsze spieranie się z nim byłoby daremne, a nawet szkodliwe, niechętnie więc ustąpiłem.

— Czy ktoś mógł chcieć mojej śmierci?

— Tak.

— Nie, nikt.

— A pańska żona? — Przywarł do mnie spojrzeniem. Niczym zjawia przed oczami stanął mi ulubiony obraz Moniki: jej rozpromienionej twarzy, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy Raymondkill Falls, jak objęła mnie z udawanym przestraczem, gdy staliśmy w huku wodospadu. — Czy ona miała wrogów?

Spojrzałem na niego.

— Monica?

Ruth Heller podeszła bliżej.

— Myślę, że to na razie wystarczy.

— Co się stało z Monicą? — zapytałem.

Doktor Heller zatrzymała się przy detektywie Reganie, stając z nim ramię w ramię. Oboje patrzyli na mnie. Heller znów chciała zaprotestować, ale jej przerwałem.

— Niech pani da spokój z tymi bzdurami o trosce o dobro pacjenta! — spróbowałem krzyknąć. Strach i gniew zmagaly się z lękiem, który zasnuwał gęstą mgłą moje myśli. — Powiedźcie mi, co się stało z żoną.

— Nie żyje — rzekł detektyw Regan.

Tak po prostu. Nie żyje. Moja żona. Monica. Jakbym go nie usłyszał. Jego słowa nie dochodziły do mnie.

— Kiedy policja dostała się do środka, znalazła was oboje. Pana zdołali uratować. Jednak dla pańskiej żony było już za późno. Przykro mi.

Teraz ujrzałem następny obraz: Monica w Martha's Vineyard,

na plaży, w żółtym kostiumie kąpielowym, z rozwianymi czarnymi włosami smagającymi kości policzkowe, posyłająca mi ten zabójczy uśmiech. Zamrugalem, odpędzając tę wizję.

— A Tara?

— Pana córka — zaczął Regan i odkaslnął. Znów spojrzał w notes, ale nie sędzę, żeby zamierzał coś w nim zapisać. — Tego ranka była w domu, zgadza się? W chwili gdy to się zdarzyło.

— Tak, oczywiście. Gdzie ona jest?

Regan z trzaskiem zamknął notes.

— Nie zastaliśmy jej po przybyciu na miejsce zbrodni.

Zaparło mi dech.

— Nie rozumiem.

— Początkowo mieliśmy nadzieję, że jest pod opieką któregoś z krewnych lub przyjaciół. Może nawet opiekunki, ale...

Zamilkł.

— Chce mi pan powiedzieć, że nie wiecie, gdzie jest Tara?

Tym razem odparł bez wahania:

— Tak, zgadza się.

Miałem wrażenie, że olbrzymia dłoń zaciska się na mojej piersi. Zamknąłem oczy i opadłem na łóżko.

— Jak długo? — zapytałem.

— Pyta pan, kiedy zaginęła?

— Tak.

Doktor Heller wtrąciła pospiesznie:

— Musi pan zrozumieć. Był pan ciężko ranny. Pańskie rokowania nie były pomyślne. Leżał pan podłączony do respiratora. Niewydolność lewego płuca. Ponadto wywiązała się sepsa. Jest pan lekarzem, więc wiem, że nie muszę wyjaśniać, jak poważny był pański stan. Próbowaliśmy zmniejszyć dawkowanie, pomóc panu odzyskać...

— Jak długo? — spytałem ponownie.

Znów wymienili spojrzenia, a potem Heller powiedziała coś, co sprawiło, że znowu zaparło mi dech.

— Był pan nieprzytomny przez dwanaście dni.

2

— Robimy wszystko co w naszej mocy — powiedział Regan zbyt gładko, jakby ćwiczył to zdanie, stojąc przy moim łóżku, kiedy byłem nieprzytomny. — Jak już mówiłem, z początku nie byliśmy pewni, że mamy do czynienia z zaginięciem dziecka. Straciliśmy trochę cennego czasu, ale teraz to nadrabiamy. Zdjęcie Tary zostało rozesłane na wszystkie posterunki policji, lotniska, kasy przy wjazdach na autostrady, dworce autobusowe i kolejowe oraz podobne miejsca w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów. Porównujemy sprawy podobnych porwań, usiłując wytypować ewentualnych sprawców.

— Dwanaście dni — powtórzyłem.

— Założyliśmy podsłuch na pańskie telefony: domowy, służbowy, komórkowy...

— Po co?

— Na wypadek gdyby ktoś zadzwonił z żądaniem okupu — wyjaśnił.

— A dzwonił?

— Nie, jeszcze nie.

Głowa opadła mi z powrotem na poduszkę. Dwanaście dni. Leżałem w tym łóżku dwanaście dni, podczas gdy moja małeńka córeczka... odsunąłem od siebie tę myśl.

Regan podrapał się po brodzie.

— Czy pamięta pan, co Tara miała na sobie tamtego ranka?

Pamiętałem. Jak każdego ranka, obudziłem się wcześnie, podszedłem na palcach do kołyski i spojrzałem na Tarę. Dobrze wiem, że wychowywanie dziecka to nie sama przyjemność. Wiem, że czasem bywa przygnębiająco nużące. W niektóre noce jej krzyki działały mi na nerwy, jakby ktoś drapał mnie drucianą szczotką. Nie zamierzam gloryfikować życia z niemowlęciem. Jednak lubiłem ten nowy poranny zwyczaj. Widok małej Tary dodawał mi sił. Co więcej, chyba wprawiał mnie w rodzaj ekstazy. Niektórzy ludzie znajdują ją w domu bożym. Ja — jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało — znajdowałem taką ekstazę przy kołysce dziecka.

— Różowy śpioszek w czarne pingwiny — powiedziałem. — Monica kupiła go w Baby Gap.

Zanotował to.

— A Monica?

— Co z nią?

Znów wpatrywał się w notes.

— Co ona miała na sobie?

— Dżinsy — odparłem, przypominając sobie, jak opinały biodra Moniki — i czerwoną bluzkę.

Regan zapisał i to.

— Czy są... czy macie jakieś ślady?

— Nadal sprawdzamy wszystkie tropy.

— Nie o to pytam.

Regan tylko na mnie popatrzył. Jego nieruchome spojrzenie przygnębiło mnie jeszcze bardziej.

Moja córka. Zaginiona. Sama. Od dwunastu dni. Pomyślałem o jej oczach, o tym błysku, który widzą tylko rodzice, i powiedziałem coś niemądrego.

— Ona żyje.

Regan przechylił głowę jak szczeniak, który usłyszał nieznaną dźwięk.

— Nie rezygnujcie — poprosiłem.

— Nie zamierzamy.

Wciąż patrzył na mnie dziwnie.

— Po prostu... Czy pan ma dzieci, detektywie Regan?

— Dwie dziewczynki — odparł.

— Może to głupie, ale wiedziałbym, gdyby było inaczej. — Tak samo jak w chwili narodzin Tary uświadomiłem sobie, że świat nie będzie już taki sam. — Wiedziałbym — powtórzyłem.

Nie odpowiedział. Zdałem sobie sprawę z tego, że te słowa — szczególnie padające z ust człowieka niewierzącego w UFO, siły nadprzyrodzone i cuda — brzmią śmiesznie. Miałem świadomość, że moje przekonanie bierze się po prostu z chęci. Z gorącej potrzeby, która sprawia, że mózg nie przyjmuje do wiadomości faktów. Mimo to z uporem trzymałem się tego przekonania. Uzasadnione czy nie, wydawało się kołem ratunkowym.

— Będziemy potrzebowali od pana więcej informacji — rzekł Regan. — O panu, pana żonie, przyjaciółach, finansach...

— Później — znów przerwała doktor Heller. Ruszyła na przód, jakby chciała zasłonić mnie własnym ciałem. Jej głos brzmiał stanowczo. — On musi odpocząć.

— Nie, teraz — powiedziałem do niej, odrobinę bardziej stanowczym tonem. — Musimy znaleźć moją córkę.

Monica została pochowana na rodzinnym cmentarzu Portmanów w posiadłości jej ojca. Oczywiście, nie byłem na pogrzebie. Sam nie wiedziałem, co o tym myśleć, ale muszę przyznać, że nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy byłem wobec siebie szczery, nie potrafiłem zanalizować uczuć, jakie budziła we mnie Monica. Była piękna tą urodą uprzywilejowanych, o nieco zbyt wydatnych kościach policzkowych, prostych i kruczoczarnych włosach oraz typową dla członkiń wiejskich klubów, stanowczą linią szczęki, jednocześnie irytującą i pociągającą. Zawarliśmy ślub z przymusu. No dobrze, trochę przesadzam. Monica zaszła w ciążę. Wcześniej wahałem się. Jej ciąża skłoniła mnie do zmiany stanu cywilnego.

Relację z pogrzebu zdał mi Carson Portman, wuj Moniki i jedyny członek jej rodziny, który utrzymywał z nami kontakty. Monica bardzo go kochała. Carson usiadł przy moim szpitalnym łóżku i złożył dłonie na podołku. W swoich okularach o grubych szklach, wyświechtanej tweedowej marynarce i niesfornej grzywie Alberta Einsteina, uczesanego na Dona Kinga, wyglądał jak powszechnie lubiany profesor college'u. Jednak jego piwne oczy podejrzanie błyszczały, gdy mówił mi smutnym barytonem, że Edgar, ojciec Moniki, postarał się, aby jej pogrzeb stał się „małą, elegancką uroczystością”.

Wcale w to nie wątpiłem. Przynajmniej w to, że małą.

W ciągu kilku następnych dni odwiedziło mnie w szpitalu parę osób. Moja matka, nazywana przez wszystkich Honey, każdego ranka wpadała jak wystrzelona z katapulty. Nosila idealnie białe reeboki oraz niebieski kostium ze złocistymi aplikacjami, jakby była trenerem St. Louis Rams. Włosy, chociaż starannie uczesane, miała osłabione zbyt częstym farbowaniem i roztaczała zapach świeżo wypalonego papierosa. Makijaż nie zdołał ukryć maminej obawy, że może stracić jedyną wnuczkę. Ze zdumiewającą energią przesiadywała całymi dniami przy moim łóżku, wyrzucając z siebie potok historycznych słów. I dobrze. Chwilami wyobrażałem sobie, że przynajmniej częściowo histeryzuje z mojego powodu i te jej erupcje emocji w dziwny sposób pozwalały mi zachować spokój.

Chociaż w pokoju było gorąco jak w piecu i mimo moich nieustannych protestów, mama nakrywała mnie dodatkowym kocem, kiedy spałem. Pewnego razu obudziłem się, oczywiście spływając potem, i usłyszałem, jak matka opowiada czarnoskórej pielęgniarkie w tradycyjnym czepek o moim poprzednim pobycie w szpitalu St. Elizabeth.

— Miał wtedy siedem lat i salmonellozę — wyjaśniła Honey konspiracyjnym szeptem, tylko trochę głośniejszym od okrętowej syreny. — Nigdy nie widziała pani takiej biegunki. Po prostu lało się z niego. Smród dosłownie wsiąkał w tapety.

— Teraz też nie pachnie różami — odparła pielęgniarka.
Obie zaśmiały się.

Drugiego dnia mojej rekonwalescencji obudziłem się i zobaczyłem stojącą przy łóżku matkę.

— Pamiętasz to? — zapytała.

W rękę trzymała wypchanego Oscara z Ulicy Sezamkowej, którego ktoś podarował mi, kiedy leżałem tu z salmonellozą. Zielen przybladła do seledynu. Matka spojrzała na pielęgniarkę.

— To Oscar Marca — wyjaśniła.

— Mamo — jęknąłem.

Znowu odwróciła się do mnie. Dziś nałożyła nieco za dużo tuszu, który popękał, tworząc nowe zmarszczki.

— Oscar dotrzymywał ci wtedy towarzystwa, pamiętasz? Pomógł ci wyzdrowieć.

Zamknąłem oczy. Coś sobie przypominałem. Dostałem salmonellozy na skutek jedzenia surowych jajek. Ojciec dodawał je do koktajlów mlecznych, żeby wzbogacić je w proteiny. Pamiętam, jaki byłem przerażony, kiedy dowiedziałem się, że będę musiał zostać w szpitalu na noc. Ojciec, który grając w tenisa, zerwał sobie ścięgno Achillesa, miał gipsowy opatrunek i nieustanne bóle. Jednak dostrzegł mój strach i jak zwykle się poświęcił. W dzień pracował w fabryce, a noce spędzał w fotelu przy moim łóżku. Przeleżałem w St. Elizabeth dziesięć dni. Każdą z tych nocy ojciec przespał w fotelu.

Mama nagle odwróciła się i zrozumiałem, że pomyślała o tym samym. Pielęgniarka pospiesznie przeprosiła, po czym wyszła. Położyłem dłoń na ramieniu matki. Nie odwróciła się, ale poczułem, że zadrżała. Spoglądała na wyblakłego Oscara, którego trzymała w rękach. Powoli wziąłem go od niej.

— Dziękuję — powiedziałem.

Mama otarła łzy. Wiedziałem, że tym razem ojciec nie przyjdzie do szpitala, i choć matka z pewnością powiedziała mu, co się stało, nie wiadomo, czy to do niego dotarło. Dostał pierwszego udaru, mając czterdzieści jeden lat — rok po tym, jak spędzał noce przy moim szpitalnym łóżku. Byłem wtedy ośmioletnim chłopcem.

Mam również młodszą siostrę, Stacy, która jest uzależniona (dla przestrzegających politycznej poprawności), albo ćpunka (dla osób preferujących precyzyjne sformułowania). Czasem oglądałam stare zdjęcia z czasów, kiedy ojciec był zdrowy, te ukazujące młodą i ufną, czteroosobową rodzinę z kudłatym psem, starannie skoszonym trawnikiem, obręczą kosza na ścianie domu oraz wyładowanym węglem grillem. Szukam zapowiedzi przyszłości w szczerbatym uśmiechu mojej siostry, jakichś złowróżbnych znaków. Jednak żadnych nie znajduję. Nadal mamy dom, lecz wygląda jak stara filmowa dekoracja. Ojciec wciąż żyje, ale kiedy podupadł na zdrowiu, wszystko się zmieniło. Szczególnie Stacy.

Siostra nie odwiedziła mnie, a nawet nie zadzwoniła, lecz ona już niczym nie zdoła mnie zadziwić.

Matka w końcu odwróciła się twarzą do mnie. Nieco mocniej ścisnąłem Oscara, gdy po raz kolejny uświadomiłem sobie, że zostaliśmy sami. Ojciec praktycznie zmienił się w roślinę. Stacy była stracona. Wyciągnąłem rękę i ująłem dłoń matki, wyczuwając jej ciepło i nowe odciski. Trzymaliśmy się tak przez chwilę, aż otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła ta sama pielęgniarka.

Mama wyprostowała się i powiedziała:

— Marc bawił się też lalkami.

— Żołnierzycami — poprawiłem ją pospiesznie. — To były figurki, a nie lalki.

Mój najlepszy przyjaciel, Lenny, oraz jego żona Cheryl, również codziennie zaglądali do szpitala. Lenny Marcus jest wziętym prawnikiem, chociaż pomaga mi także czasem w takich drobnych sprawach, jak mandat za nieprzepisowe parkowanie albo hipoteka naszego domu. Kiedy skończył studia i zaczął pracować w biurze prokuratora okręgowego, przyjaciele i wrogowie szybko przezwali go Buldogiem z powodu agresywnego zachowania na sali sądowej. Później ktoś doszedł do wniosku, że ten przydomek jest dla niego zbyt łagodny, więc teraz nazywają go Cujo. Znam Lenny'ego od szkoły podstawowej.

Jestem ojcem chrzestnym jego Kevina. A Lenny jest chrzestnym mojej Tary.

Nie mogłem spać. Nocami leżałem, patrząc w sufit, licząc piski aparatury, słuchając odgłosów nocnego życia szpitala i bardzo starając się nie myśleć o mojej córeczce oraz rozmaitych ewentualnościach. Nie zawsze mi się to udawało. Umysł, jak się przekonałem, rzeczywiście jest ciemną jaskinią pełną węży.

Później pojawił się detektyw Regan, który, być może, wpadł na jakiś ślad.

— Niech mi pan opowie o pana siostrze — zaczął.

— Dlaczego? — odparłem bez zastanowienia. Zanim zdążył wyjaśnić, powstrzymałem go, unosząc dłoń. Zrozumiałem. Moja siostra jest narkomanką. A gdzie narkotyki, tam również kręci się element przestępczy. — Czy coś zrabowano? — spytałem.

— Raczej nie. Wydaje się, że niczego nie brakuje, ale ktoś zrobił tam Sajgon.

— Sajgon?

— Narobił bałaganu. Nie domyśla się pan dlaczego?

— Nie.

— Niech więc opowie mi pan o siostrze.

— Macie rejestr Stacy? — zapytałem.

— Mamy.

— Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać.

— Nie utrzymujecie żadnych kontaktów, zgadza się?

Żadnych kontaktów. Czy to odnosi się do Stacy i do mnie?

— Kocham ją — powiedziałem powoli.

— A kiedy widział ją pan po ostatni?

— Sześć miesięcy temu.

— Kiedy urodziła się Tara?

— Tak.

— Gdzie?

— Gdzie ją widziałem?

— Tak.

— Stacy przyszła do szpitala — odparłem.